

Przystanek Piłaki Małe, czyli młodość na mazurskiej Alasce

Po przeczytaniu „Buszu po polsku” Ryszarda Kapuścińskiego w pamięci szczególnie pozostała mi historia Augusty i Margot Bruzius, które uciekły z domu starców w Szczytnie. Kiedy jednak przyjechały do Olecka, okazało się, że po wojnie wszystko się tam zmieniło.

I nic dziwnego, ponieważ Mazury znajdujące się w północno-wschodniej Polsce przez wiele lat należały do Prus. W wyniku przegranej przez Niemcy II wojny światowej zostały włączone do Polski. Po 1945 roku przyjechało osiedlić się na tzw. Ziemiach Odzyskanych prawie pół miliona ludzi (dane z „Encyklopedii Warmii i Mazur”) z różnych regionów Europy. Część z nich przybyła w poszukiwaniu lepszego życia. Inni, w wyniku decyzji politycznych, zostali przymusowo przesiedleni na tereny byłych Prus Wschodnich. Można było wśród nich wyróżnić tzw. repatriantów, czyli ludność polską, która przyjechała z tych terenów, które po II wojnie światowej należały do ZSRR. Oprócz tego, krainę tysięcy jezior zamieszkiwali autochtoni, tj. ludność miejscowa, będąca obywatelami III Rzeszy pochodzenia polskiego, a także zwykli Niemcy. Na Mazury przyjechali również Ukraińcy przesiedleni z południowo-wschodniej Polski wskutek akcji „Wisła”. Do tej ostatniej grupy należała moja babcia Marysia, wtedy 15-latką.

Po przybyciu na Mazury z okazji Wielkanocy, ciekawa wspomnień mojej babci, chwytam za zeszyt, w którym notowałam skrupulatnie wszystkie pytania i biegnę do niej, aby posłuchać o tych ciężkich i skomplikowanych czasach. Docieram na osiedle, które pamięta lata 70’, zupełnie jakby czas tam się zatrzymał pół wieku temu. Przy zaparzonej herbacie, w małej kuchni oświetlanej porannym słońcem, siedzę z moją 86-letnią babcią i rozmawiam o tym, jak wyglądał świat, kiedy była młoda. Wyciąga nawet z małej szafki spisaną własnoręcznie biografię jej młodszego brata i pokazuje mi ją. Słuchając historii jej życia, mam wrażenie, że przenoszę się w czasie.

Tu nie ma niczego

Ówczesny Sołtys Piłak Małych (wówczas jeszcze Lindenwiese), Franciszek Waraksa, który powitał przybyłych workami ze zmielonym zbożem, powiedział, że „tu nie ma niczego – ani apteki, ani sklepu. Weźcie to i chociaż zróbcie sobie coś do jedzenia.”. Po dwutygodniowej podróży z Bieszczad wreszcie przyjechali do miejsca, w którym mieli żyć, w którym faktycznie nie było niczego. Za szkołę na początku służyła większa sień, nabożeństwa majowe oraz msze odprawiano w poszczególnych domach. Na szczęście nikt nie miał jak wywyższać się nad innymi, bo wszyscy mieli ten sam status majątkowy. Wszyscy byli biedni.

Trudne początki

Na początku ludzie nie byli wobec siebie przyjaźnie nastawieni. Kiedy mieszkańcom okolic Suwałk, którzy byli jednymi z pierwszych osadników Ziemi Odzyskanych, powiedziano, że przyjadą „banderowcy”, ci, ze strachu, powybijali w niektórych oknach szyby. Później co prawda żyli w zgodzie, jak sąsiedzi, ale na początku nie darzyli się ani zaufaniem, ani wzajemną sympatią. Dom, który przydzielono rodzinie Marii Maćkiw (wówczas Mielniczek) był bardzo zniszczony. Brat mojej babci, Włodzimierz Mielniczek, tak pisał o nim w swojej biografii: „...podwórko zarówno w środku, jak i na zewnątrz to istne pobożowisko, chwasty bardzo wysokie”. Żeby dało się normalnie mieszkać, trzeba było najpierw porządnie posprzątać. Dzięki PUR-owi (Państwowemu Urzędowi Repatriacyjnemu) przy pomocy fachowców udało się wstawić całe okna z framugami. Wszyscy mogli odetchnąć z ulgą – co prawda do zimy jeszcze było daleko, ale nie wiało i gryzonie nie wchodziły do kuchni.

Ludzie powoli przestawali patrzeć na siebie wrogo. Zrozumieli, że nikt nie będzie próbował ich okraść i zaczęli zawiązywać przyjaźnie, które pozwalały przetrwać w trudnych warunkach. Komuś zostało trochę mąki oraz jajek i pożyczył sąsiadce, która w podziękowaniu zrobiła szalik na drutach. Ktoś brał od innych wodę ze studni. Młoda kobieta podarowała nawet mojej prababci kurę, która potem zniosła siedem jaj. Mama Anny Jedenasty, która przyjechała z Baranowa (ówczesnej Litwy) miała owcę i z jej wełny robiła skarpetki sąsiadom na święta.

Podczas przyjazdu innych ludzi, szczególnie tych z „Akcji Wisła” część mieszkańców Piłak Małych trzymała ze strachu siekiery w domu do samoobrony. Z czasem jednak, kiedy wrogość ustąpiła przyjaźni i zaufaniu, przenieśli te przedmioty do szop, miejsc, w których powinny się znajdować.

Każdy ma swoje miejsce

Każdy Mielniczek miał swój przydział obowiązków. Rodzice pracowali na gospodarstwie, żeby utrzymać dom i wyżywić rodzinę. Moja babcia, najstarsza z rodzeństwa, poszła pracować u pani Jadwigi Kowalewskiej pochodzącej z Suwałk, którą do dziś odwiedza na cmentarzu w Budrach i bardzo ciepło wspomina.

– Taka dobra była dla mnie, taka dobra była. Jak byłam taka jak ty, chodziłam do niej żyto kosić. Nie wiedziałam na początku zupełnie, jak to robić, bo u nas sierpami się to robiło. To ona powiedziała do mnie: „Marysia, do domu idź, nazbieraj dla gęsi zielska, kurczaki nakarm,

ziemniaki obierz, buraczki przyszykuj. Jak przyjdę z pola to zaraz obiad zrobię i zjemy.”. Cały czas upominała swojego syna, Cześka, żeby mi pomógł kartofle nosić.

Młodzież miała ze sobą trochę nieporozumień językowych. Raz, zrywając kapustę, zobaczyli ptaki na niebie. Czesiek zawołał: „Patrz! Jaskółki!” a Marysia poprawiła go, mówiąc, że to łastówki. Spór zakończyła pani Jadwiga, która oznajmiła, że to jedno i to samo.

Młodsze dzieci, w tym Władek, brat Marysi, poszły do szkoły. Przez pierwsze 4 lata w szkole oddalonej o 1,5 km uczył pan Bartoszek. Później droga się wydłużyła – żeby kontynuować naukę w miejscowości Kutry trzeba było pokonywać 6 kilometrów. Dzieci, które przychodziły z innych wsi, zazdrościły tym miejscowym, które nie musiały wracać pieszo czy to słońce, czy to deszcz przez prawie godzinę do domu. Podczas takich wypraw nie tylko zdzierało się obuwie, którego nikt nie miał za wiele, ale można było złapać i katar, i kaszel.

Droga też nie zawsze była bezpieczna. Po wojnie wiele min nie zostało zabezpieczonych i nadal można było natknąć się na niektóre z nich, schowane w trawach. Władek, wracając z kolegami, natknął się na jedną. Nie wiedząc, co to jest, każdy wziął ją do ręki i dokładnie obejrzał. Tylko Stefan Klimko nie chciał jej dotykać. W końcu jednak uległ ciekawości. W tym momencie mina eksplodowała. Chłopiec nie przeżył, a jego koledzy poważnie się poturbowali. Po tym incydencie przez jakiś czas nie chcieli wychodzić z domu. Bali się natknąć na inne powojenne pozostałości.

Każdy się uczy od każdego

Żyjąc z przedstawicielami kilku narodowości wokoło, trudno nie czerpać z innych kultur. Tak było też w Piłakach Małych. Polki i Litwinki szczyliły się robieniem na drutach, Ukrainki częściej wyszywały. Szybko jednak uczyły się jedne od drugich i nie można było rozróżnić, kto skąd pochodzi. Pani Waraksowa słynęła z niezwykle wprawnego władania szydełkiem. Od pani Marikowej można było nabyć umiejętność szycia na maszynie. I mimo że nauczycielce zdarzyło się parę razy podnieść głos, moja babcia teraz świetnie szyje fartuszki i spódniczki. Wykonała sama nawet własną suknię ślubną!



Zdjęcie ślubne Marii i Józefa Maćków z 1952 r. uroczystość odbyła się w Pawłowie

Zresztą kobiety dzieliły się nie tylko wskazówkami dotyczącymi robótek ręcznych. Moja prababcia uczyła sąsiadki jak kusić ogórki i gotować odpowiednio kwaśny barszcz. Od Polek dowiedziała się jak przyrządzić szczawiową, której wcześniej nigdy nie jadła, oraz jak zrobić gołąbki i babkę ziemniaczaną. Każdy miał szansę poznać nowe smaki i wymieniać się przepisami. Ci, którzy przyjechali z południa, musieli też opanować nowe metody pracy na roli. Wcześniej używane motyki, sierpy i kosy na Mazurach, zastąpiły nowocześniejsze maszyny do młócenia, które wymagały wiedzy technicznej.

Ludzie uczyli się od siebie nawzajem, bo dzięki temu wszyscy się uzupełniali. I nawet jeśli ktoś czegoś nie umiał, nie bał się prosić o pomoc. W taki sposób Piłaki Małe mogły sprawnie funkcjonować i się rozwijać.

Nie samym chlebem człowiek żyje

Niezależnie od czasów, młodość rządzi się swoimi prawami. Nastolatki (ale nie tylko) odczuwali potrzebę zabawy. W końcu, mimo że przyszło im dorastać w trudnych czasach, mieli to, co najważniejsze – siebie nawzajem. Na każdą imprezę organizowaną w danej wsi wszyscy szli razem, jak jeden mąż. Nawet nie potrzebowano specjalnego zaproszenia – każdy był otwarty na nowe znajomości. A były przeróżne powody do spotkań, nie tylko urodziny i wesela. Hucznie żegnano chłopców idących do wojska. Świątowano zakończenie żniw, początek wiosny. Nawet w szarej rzeczywistości można było znaleźć wiele pretekstów do zabawy.

Zdziwiłam się, że istniała nawet na imprezach książka, w której ludzie wpisywali sobie nawzajem różne rzeczy, podpisując się jedynie numerem. Nikt, oprócz osób prowadzących konwersację, nie wiedział, kto kryje się za liczbą 115, a kto za 80.

Ten sposób komunikacji mógł być dobrą alternatywą dla osób nieśmiałych, które bały się powiedzieć coś na głos i wołały pisać. Czasami padały w niej wyznania miłosne, czasami słowa krytyki albo komplementy. W zasadzie taka książka przypominała nieco dzisiejsze SMS-y. Bracia mojej babci: Władek, Romek i Sławek założyli nawet zespół muzyczny. Dwóch grało na harmonii, jeden na własnoręcznie wykonanym bębnie. Sami nauczyli się paru znanych przyśpiewek i tworzyli swoje własne. Koncertowali na weselach i innych świętach, dostarczając innym rozrywki i co najważniejsze, dobrze się przy tym bawiąc.

Inną formą spędzania czasu z innymi była jazda na rowerze. Warto jednak zaznaczyć, że pojazd ten służył głównie celom transportowym, a nie rekreacyjnym. Jazda po żwirowych drogach nie należała do najprzyjemniejszych, ale znacznie przyspieszała czas dojazdu. Rowery miało bardzo mało ludzi, często zwykle znajdowano je w poniemieckich piwnicach i odnawiano. Niektórzy próbowali złożyć dwukołowóz z części znalezionych w domu. Jeźdzono na nich m.in. do kościoła, znajomych i dalej mieszkającej rodziny.



Chłopcy z Piłak Małych jadą do kościoła na swoich rowerach. Drugi od lewej strony to mój dziadek, Józef Maćkiw.

Ktoś kiedyś powiedział: „Jak tu u was, w Piłakach Małych zawsze wesoło!”. I tak było. Nawet przy żmudnych zajęciach, takich jak darcie pierza czy przedzenie wełny miało się kontakt z innymi ludźmi, bo w kupie zawsze było rażniej. I nieważne, czy byli to Polacy, Litwini, Ukraińcy czy Niemcy.

Sąsiedzkie życie

Dobre relacje z sąsiadami przynosiły w Piłakach Małych wiele korzyści. Nie tylko jeśli chodziło o szklankę mąki czy cukru. Często przeradzały się one w prawdziwe przyjaźnie i miłości na całe życie.

Mój pradziadek, Jan Mielniczek, przesiedlony z Bieszczad, niesamowicie dokuczał sobie z Janem Skindziulem, który pochodził z Suwalszczyzny. Zawsze jednak uważali, żeby nie przesadzić, bo mimo wszystko bardzo się lubili.

Brat mojej babci, Władek, miał maszynkę do strzyżenia. Pewnego dnia przyszedł do niego Skindziul, żeby podciąć włosy, z ćwiartką wódki w marynarce w podziękowaniu. Kiedy powiesił swoje nakrycie na krześle, mój pradziadek wyciągnął butelkę, wylał zawartość i nalał wodę. Potem udał wielkie zdziwienie i oburzenie, że jego sąsiad jest tak skąpy, że nie przyniósł alkoholu. Zdezorientowany Skindziul najpierw spanikował, ale później serdecznie się roześmiał. W odwecie, innym razem Skindziul podmienił zegarek z kieszeni pradziadka na cebulę. Kiedy się żegnali, zawołał do niego: „Która to godzina?” i tarzał się ze śmiechu na widok konsternacji Jana.

Przygód ze sobą mieli jeszcze bardzo wiele. Docinali sobie w każdy możliwy sposób. Nawet na łożu śmierci, mój pradziadek chciał zobaczyć się ze swoim sąsiadem. Kiedy go ujrzał wyznał mu jedną rzecz: „Moim marzeniem jest być pochowanym obok ciebie”. Słowa owszem, sprawiały, że ciepło robiło się na sercu, ale po głębszej analizie można wyciągnąć wniosek, że Jan dał Skindziulowi do zrozumienia, że to sąsiad umrze wcześniej. Mimo że był to taki mały pstryczek na zakończenie ich przekomarzań, życzenie pradziadka zostało spełnione. Dzisiaj ich nagrobki stoją obok siebie.



Innym przykładem na to, jak przyjaźń była ponad pochodzenie są Anna Jedenasty i Franciszka Waraksa. Pierwsza z nich pochodziła z Baranowa (ówczesnej Litwy) a druga z Suwalszczyzny. Kiedy pozowały do tego zdjęcia nie wiedziały jeszcze, że wyjdą za mąż za dwóch braci: Jarosława i Romana i tym samym staną się bratowymi.

Mimo innych narodowości

Mazury stały się po wojnie domem dla wielu nacji. Każdy nowoprzybyły znał pewnie wiele stereotypów o Litwinach, Polakach, Ukraińcach i Niemcach. Jednak życie na wspólnej wsi zweryfikowało wszystkie uprzedzenia: nagle okazywało się, że nie każdy Polak to złodziej, że nie wszyscy Niemcy są nazistami, że nie każdy Litwin jest uparty, a nie wszyscy Ukraińcy to zabójcy. Dorastając w jednym miejscu, w tych samych warunkach nieistotne było, kim byłeś wcześniej, skąd pochodzisz. Ważne było to, czy jesteś gotowy współpracować z innymi, pomagać sobie nawzajem i czy najzwyczajniej w świecie chcesz żyć w zgodzie z resztą. I życie na tym właśnie polega. Na szukaniu rzeczy które nas łączą, a nie dzielą. Na przełamywaniu swoich uprzedzeń. Na tolerancji i szacunku dla innych. Nie trzeba przeżyć wojny i przesiedlenia, żeby to zrozumieć. Warto nie tylko uczyć się na błędach naszych przodków, ale też powielać rzeczy, które robili dobrze. Powielać sukces mieszkańców Ziemi Odzyskanych, którzy żyli w zgodzie i harmonii, mimo innych narodowości.

Herbata już dawno wystygła. Kiedy babcia kończy swoją historię jestem niesamowicie wzruszona. Żegnając się z nią, myślę o dwóch rzeczach. O tym, że nie wiedziałam mnóstwa rzeczy o mojej babci. I o tym, że muszę kiedyś odwiedzić Piłaki Małe.